Nr. 6. | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, 16. marca 1928. | Rok 50.

ŁOWIEC

KALENDARZ ŁOWIECKI W marcu wolno polować na głuszce (koguty) od 15-go, cietrzewie (koguty), słonki, kaczory i gęsi dzikie.



NR. 5. •WE LWOWIE, 16. MARCA 1928. ROK 50.



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

Ciąg dalszy

KONGRES MYŚLIWSKI

Wielkiej doniosłości misję w przedmiocie łowiectwa spenił II-gi Międzynarodowy Kongres mysliwski w Wiedniu. Był on niejako dalszym ciągiem I-go Kongresu, który w r. 1907 zwołał „Saint Hubert Club de France“ w Paryżu.

Tym razem — podczas wspomnianej wystawy — w naddunajskiej stolicy — ekonomiści, przemysłowcy, kupcy i myśliwi całego globu postanowili poważnie zastanowić się nad sprawą dotyczącą całej istoty myślistwa.

Zadaniem obrad, w których uczestniczyły najwybitniejsze umysły współczesnych mężów stanu, profesorów, przyrodników, ministrów i in. było udowodnić demagogom, że łowiectwa niepodobna traktować dziś z zaściankowego punktu widzenia z racji partyjnych waśni; że nie można upatrywać w niem wyłącznie zabawki możnych lub sportu, — objaw bowiem sięgający w tak głębokie podłoża życia społecznego, wiążący się z bezlikiem zagadnień ekonomicznych i socjalnych — ani za jedno, ani za drugie stanowczo uchodzić nie może i nie powinien.

Chodziło więc o to, aby elita ta swoją powagą postawiła łowiectwo na wyżynach istotnej gałęzi kultury.

Prace Kongresu podzielone były na trzy sekcje, z których każda stanowiła osobne ciało obradujące, obejmując następujące punkty:

Znaczenie łowiectwa w gospodarstwie krajowem; statystyka łowiectwa; plombowanie zwierzyny; handel futrami i skórami; międzynarodowe biuro wywiadowcze w sprawie polowań; dziczyzna jako środek spożywczy; ujednostajnienie kalibrów broni myśliwskiej, gatunków prochu, łusek nabojowych i śrutu; choroby zakaźne u zwierzyny; aklimatyzacja muflonów; myślistwo doświadczalne; międzynarodowa ochrona ptactwa przelotnego; ochrona niejadalnych ptaków morskich, ubezpieczenie prywatuego personalu myśliwskiego; prawo łowieckie i ochrona pomników natury.

Z uznaniem rzetelnem podkreślić należy, że przez kilka dni obrad nad temi tematami pracowano sumiennie.

Ponieważ obszerniejsze streszczenie ważniejszych referatów zamieścił podpisany — jako biorący czynny udział w tym kongresie — na łamach „Łowca“ w n-rze 20, 21 i 22 z r. 1910, tu zatem, dla braku miejsca, ograniczyć się trzeba jedynie do zapisania faktu, że wszystkie rezolucje podane zostały ostatniego dnia obrad przez przewodniczących sekcji, do wiadomości prezydjum i ogółu uczestników kongresu. Przyjęto je *en bloc* i uchwalono, aby delegaci państw na kongresie reprezentowa-

nycn, postarali się u swych rządów o wprowadzenie tych postulatów w życie, przez kodyfikację dotyczących ustaw“.

„Czuwać ma nad wykonaniem tego stała Komisja kongresów łowieckich, do której z b. Galicji wybrani zostali St. hr. Stadnicki (jako prezes Gal. Tow. Łowieckiego) tudzież Jan hr. Szeptycki i Zdzisław hr. Tarnowski.

Miał też Kongres ten poza użyteczną i nadobną stronę, o czem, choćby z racji kronikarskiej ścisłości nadmienić trzeba, a swoją drogą i warto.

Trwale utkwił nam w pamięci moment zebrania się wszystkich uczestników Kongresu w przededniu obrad, w przepysznej auli wiedeńskiego uniwersytetu.

W niej to, gdy po mowach powitalnych, wygłoszonych przez ks. Karola Kinsky'ego, Poppa i dr. Neumayera, rozgwarzyły się naraz zebrane narody kilkudziesięciu państw — nastąpiło takie pomieszanie języków, że powstał stąd istny Babel.

Miało się też przed sobą niezwykły, pełen kontrastu obraz dla oka, wytworzony obliczami żółtej rasy Chińczyków i Japończyków, a pozatem typy Meksykańczyków, Paragwajczyków i t. p., oraz kakofonję językową dla ucha, jak rzadko gdzie i kiedy a nie każdemu słyszeć się zdarza:

Niewdzięcznością byłoby nie wspomnieć o ugoszczeniu i przyjemnościach, zgotowanych „kongresowcom“ przez wesoły Wiedeń. I tak: nazajutrz po obradach, t. j. 15. września 1910, odbył się obiad, dany przez Komitet organizacyjny, w restauracji „Volksgartenu“. Uczestniczyła w nim też i płeć piękna — amazonki sfery wykwintnej. Przy akompanjamencie pięknych fanfar myśliwskich, otrąbionych przez waltornistów Opery nadwornej — utwory Richtera, Wagnera, Stieglera i Schantla — sypały się toasty poważnej i humorystycznej treści; grzmiały echa strzałów korkowych, jakby palba rusznic w pełnej zwierza kniei. Bawiono się z humorem myśliwskim.

Tegoż dnia wieczorem odbyło się przyjęcie u Dworu, w przewspaniałych apartamentach cesarskiego burgu.

Zaproszonych było kilkaset osób różnej narodowości, z dość znaczną liczbą Polaków. Przodował nam wielce zasłużony członek honorowy Gal. Towarzystwa łowieckiego, który przez 20 lat był jego prezesem, Roman hr. Potocki, a tym razem, jako nasz delegat do Państwowego Związku myśliwskiego w Wiedniu, nader żywy w obradach Kongresu brał udział.

Pań na tem przyjęciu nie było.

W rozmowach poruszano jedynie temat dnia tego aktualny — łowiectwo!

Do oryginalności zaliczyć trzeba to, że po raz pierwszy może w salonach Burgu widniał wśród najwyższych dekoracji na umundurowanych piersiach i u klap frakowych, nowy order... odznaka członków kongresu. Skromna to dekoracja, ale myśliwemu miła.

Drugiego dnia podejmowało — i to nader *honeste* — miasto Wiedeń. Gigantycznych rozmiarów sala gotyckiego stylu — pomieściła przy sześciu słołach, długości ulicy (93 m.) przeszło 850 osób obojga płci.

Działalność i dążenia kongresu spotkały się w przemówieniu burmistrza z wielkiem uznaniem. Na pamiątkę dnia tego obdarzono brzydką połowę ludzkiego rodu ilustrowanem wydaniem p. t. „Cesarz F. J. I. jako myśliwy“, oraz gustownem *etui*, pełnem cygar hawańskich i egipskich papierosów. Płeć piękna dostała pomienioną książkę i bukiety.

Największą atoli biesiadą dla duszy myśliwskiej była wycieczka do rewirów cesarskich w Lainz. Odbyła się ona po południu d. 17. IX. kosztem Dworu, w sto powozów. Kierował nią sam łowczy koronny hr. Thun-Hohenstein z górną uprzejmością.

I tu dopiero, na widok wspaniałej kniei, pełnej jarów, potoków, polan i połonin, wobec piękna boskiej przyrody, utwierdził się każdy myśliwy, po raz tysiączny w duszy, że poza łowiectwem — wszystko jest marnością!...

W kniei tej, o obszarze 2.576 ha., stan zwierzyny dnia tego — już po odstrzale — wynosił ogółem 975 sztuk wyłącznie zwierza grubego — zajęcy tu niema — a w szczególności: 375 jeleni, 170 danieli, 15 jeleli wirginijskich, 88 muflonów, 370 dzików, a tylko 17 sarn. Odstrzał doroczny wynosi 795 sztuk.

Rozkoszą było patrzeć jak to wszystko bezmała pasło się, żerowało lub buchtowało na otwartych halinach leśnych.

Obraz to — w duszy myśliwego — niczem nie zatarty.

Oto garść fragmentów z całości wielkiego wyczynu naszego Towarzystwa w pamiętnym roku 1910.

* * *

C. d. n.



WITOŁD ZIEMBICKI.

Literacka spuścizna Józefa hr. Potockiego.

(Notatka bibljograficzna). [1])

Przepyszna, jeśli nie ilością wydawnictw, to ich jakością, spuścizna literacka śp. Józefa hr. Potockiego była jakby odbiciem świetnej jego postaci, którą tak żywo jeszcze wszyscy mamy przed oczyma. Dzieła jego podróżniczo-łowieckie, przebogate szatą i treścią, należą do najpiękniejszych zjawisk na polu tego rodzaju literatury światowej wogóle. Nie dziw, że są po dziś dzień i będą zawsze poszukiwane nietylko jako pierwszorzędna ozdoba każdej bibljoteki i jako arcydzieło sztuki wydawniczej, ale są i będą zawsze odczytywane z prawdziwą rozkoszą tak przez tych, którzy je wezmą po raz pierwszy do ręki, jak i przez tych, którzy je już znają, a przecież wracają do nich ustawicznie, nie mogąc się oprzeć urokowi z ich kart bijącemu.

Świeżo wydrukowane drugie wydanie Sztolcmana „Nad Nilem Niebieskim“ przypomina nam znowu podróże Józefa hr. Potockiego i ich opisy. A ponieważ nie były one dotąd nigdzie zestawione w sposób bibljograficzny i wyczerpujący, uważam za pożyteczne uczynić to dla czytelników „*Łowca*“.

Pierwszem dziełem Józefa hr. Potockiego i jego pierwszą próbą literacką na większą skalę, były

„Notatki myśliwskie z Indyi“.

Ozdobione 13 rycinami. Kraków. Nakładem autora. 1891. Druk Anczyca i Ski. Wielka ósemka. Wymiar 24 × 16 cm. Str. 149. i spis rozdziałów. Podpisano: Antoniny, w maju 1890. r. Ryciny wykonane były ze zdjęć fotograficznych. — Egzemplarze broszurowane posiadały kartonową okładkę barwy zielonej, z winietą tytułową.

Pierwsze to wydanie „Notatek myśliwskich z Indyi“ odbite było „*jako rękopis*“ w 100 (stu) egzemplarzach i nie było puszczone w ruch księgarski. Należy ono dziś do rzadkości. Ocenę jego i bardzo obszerne streszczenie podał „*Łowiec*“ w r. 1891. w całym szeregu numerów. Na wstępie czytamy tam (str. 17.):

„Niejednokrotnie spotkać się można z wspaniałymi wydaniami dzieł, spisanych przez ludzi, zajmujących wysokie stanowisko towarzyskie, lecz nie zawsze wspaniałości okładki i papieru odpowiada treść w nich zawarta. Tu wszakże ma się rzecz odwrotnie i gdyby notatki hr. Józefa Potockiego odbite były na zwykłej bibule drukarskiej, byłyby czytane z równem zajęciem i nie straciłyby nic na swej istotnej wartości. Autor umie opowiadać jak pisarz najwytrawniejszy, język jego niezwykle czysty i staranny, a przytem pełen siły i barwności, opowiadanie ciągle zajmujące, a spostrzeżenia świadczą o bystrym zmyśle spostrzegawczym, który umie podjąć wszystko co jest nowem, nie nużyć czytelnika powtarzaniem rzeczy, znanych już dostatecznie z opisów innych podróżników. W autorze odsłania się wreszcie żywa, prawdziwie swojska, pełna prostoty i dziarskości natura łowiecka, w skutek czego i notatki jego mają ten urok prostoty i wdzięku bezpośrednich wrażeń, które płyną jedynie z osobistego zetknięcia się z nowym nieznanym nam światem i żadną sztuką literacką zastąpić się nie dadzą“.

JÓZEF HR. POTOCKI
Ur. 9. IX. 1862 † 25. VIII. 1922.



Według portretu, wykonanego przez Jul. Fałata w r. 1896., a reprodukowanego w „Notatkach myśliwskich z Afryki“. Portret ten ocalał i znajduje się obecnie w Pałacu Hr. Potockich w Warszawie.

Tę pierwszą swoją większą podróż myśliwską rozpoczął hr. Józef Potocki w styczniu 1890., mianowicie dn. 6. stycznia opuścił brzegi Europy, wyruszając z Brindisi, a dn. 11. kwietnia pożegnał Azję w Bombaju w powrotnej drodze do kraju. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że w opisie tej i następnych podróży znajdzie jedynie wspomnienia myśliwskie. W opisach tych jest wszystko, co w podróży wydało się interesującem dla autora i co może zająć czytelnika. Spostrzeżenia geograficzne, klimatyczne, etnograficzne, przypomnienia historyczne i polityczne — stanowią tło opisów przyrodniczych i myśliwskich, składając się na rzecz najwszechstronniej ujętą i wysoce krztałcącą. Toteż pierwsza książka hr. Józefa Potockiego wywołała odrazu najżywszy oddźwięk w kulturalnem społeczeństwie i utorowała szeroko drogę dalszym wydawnictwom. Sposób, w jaki ją przyjęto, zachęcił zarazem autora do powtórzenia i rozszerzenia nakładu, tak skromnie pierwotnie przez niego zakreślonego.

Zanim do tego przyszło, Józef hr. Potocki wybrał się w powtórną podróż.

„Wabiły mnie ponownie Indye, — pisał w swej następnej książce — a w szczególności nieznane mi regiony północnego Assamu i Nepalu u stóp Himalajów;

[1]) Niniejszą notatkę poświęciłem wyłącznie wydawnictwom książkowym. Prócz nich posiada piśmiennictwo cały szereg artykułów hr. Józefa Potockiego, rozprószonych w najrozmaitszych czasopismach krajowych i zagranicznych.

ciągnęło mnie w głąb afrykańskiego kontynentu, nad brzegi tajemniczych jezior i do podnóża Kilimandżaro, do tego istotnego Eldorado myśliwych, skąd dobrze mi znajomi podróżnicy bogate trofea łowieckie z najgrubszego zwierza, rok rocznie przywożą... Atoli, mając tym razem podróżować z żoną,[2]) wolałem obrać za cel wycieczki dostępniejszą, bardziej ucywilizowaną, a niemniej ponętną i ciekawą wyspę Cejlon“.

Ostatnie przygotowania poczyniono w Łańcucie, braterstwo bowiem hr. Józefa, hrabstwo Romanowie Potoccy, mieli część drogi, mianowicie do Kairo, odbyć wspólnie. Dnia 6. stycznia 1894., a więc dokładnie w czwartą rocznicę wyprawy do Indyj, wyruszono z Tryjestu. Pobyt na Cejlonie trwał do dn. 19. marca. Wyprawa uwieńczona była znakomitym sukcesem myśliwskim.

Z Colombo otrzymał *„Łowiec“* od hr. Potockiego depeszę z wiadomością o ubiciu 2 słoni i 5 bawołów.[3]) Wychodzące w Colombo gazety angielskie: *„Ceylon Observer“* i *„Times of Ceylon“* umieściły pod datą 12. marca o tych łowach szczegółowe notatki.[4])

Bezpośrednio po powrocie z Cejlonu wygotował hr. Potocki opis tej podróży. wydany drukiem jedynie w 10 (dziesięciu) egzemplarzach „jako rękopis“, pod tytułem:

„Notatki myśliwskie z dalekiego Wschodu. Cejlon.“

Kraków. 1894. Druk Anczyca i Ski.

Ten fenomen bibljograficzny nie pojawił się oczywiście nigdy w handlu. Wszystkie egzemplarze zarezerwowane były do prywatnej dyspozycji autora.

Ale podróże hr. Potockiego na „Daleki Wschód“ stały się już zbyt głośne, a opisy ich zbyt interesujące, żeby poprzestać miano na tych, dla małej garstki osób „drukowanych rękopisach“.

Toteż firma Gebethnera i Wolffa przystąpiła obecnie do zakrojonego na wielką skalę i przystrojonego w odpowiednią szatę wydania opisu obu podróży: Indyjskiej i Cejlońskiej. W ten sposób powstało owo prześliczne wydawnictwo 2-tomowe:

„Notatki myśliwskie z dalekiego Wschodu“.
Tom I.: Indye,
Tom II.: Ceylon.

Warszawa. 1896. Gebethner i Wolff. Z ilustracjami Piotra Stachiewicza.

Format wielkie 4⁰. Wymiary $31^{1}/_{2} \times 24$, T. I. Indye str. 141. Podpisano jak w pierwszem wydaniu Indyj: Antoniny, w maju 1890 r. T. II.: Cejlon str. 150. Podpisano: Antoniny, w maju 1894. r.

Klisze według rysunków, częściowo kolorowanych, Piotra Stachiewicza, wykonała jedna z firm wiedeńskich[5]) Materjał do tych rysunków stanowiły fotografje, zdjęte przez hrabinę Potocką. Ozdobna oprawa w płótnie, z wyciskami kolorowemi, z głową tygrysa jako głównym motywie na tomie I., a z głową słonia, jako głównym motywie, w tomie II., wykonana była w Lipsku.

Druk powierzono firmie W. L. Anczyca i Ski w Krakowie, jedynej na ziemiach polskich, która mogła się podjąć podobnego zadania i tak znakomicie się z niego wywiązać. Wysokość nakładu każdego tomu po 600 egz. i 50 egz. na oryginalnym papierze japońskim. Cena w handlu: Oba tomy 20 złr. = 16 rubli. Egzemplarze (numerowane) na papierze japońskim: 32 złr. = 25 rubli. Koszta nakładu pokrywał sam autor.

Luksusowe wydanie „Notatek myśliwskich z dalekiego Wschodu“ było poprzedzone prospektem, odbitym w 20.000 egzemplarzy u Anczyca w Krakowie. Prospekt ten, formatu in quarto (wym. 31 × 24) składa się z 2 kart, ozdobionych czterema rysunkami Stachiewicza. Na wewnętrznych stronach mieści się właściwy tekst prospektu. Zawiera on m. i. ten ważny szczegół bibljograficzny, że pierwsze wydanie Indyj odbito „z woli autora tylko w stu egzemplarzach“ i że nie znajdowało się ono wcale w handlu księgarskim. Ukazanie się „Notatek myśliwskich z dalekiego Wschodu“ zapowiedziano na grudzień 1895. Tak się też stało. Wedle informacji, którą zawdzięczam uprzejmości dr. Wł. Anczyca, pierwsze egzemplarze zostały przesłane autorowi na Gwiazdkę 1895. r. W handlu pojawiło się dzieło w r. 1896. Prospekt zawiera wreszcie ceny w zł. reńskich i w rublach, nadto wysokość nakładu egzemplarzy numerowanych (na papierze japońskim). *„Łowiec“* podał w N-rze 3. z 1896. r. pełną zachwytu recenzję o „Notatkach z dalekiego Wschodu“ wraz z krótkiem streszczeniem (str. 33—38).

„Jeżeli już „Notatki z Indyi“ — pisze tam St.[6]) — zwróciły na siebie w pierwszem wydaniu powszechną uwagę nietylko myśliwych, lecz w ogóle czytającej publiczności polskiej i były z rąk do rąk rozchwytywane — to w wyższym jeszcze stopniu zasługuje na to opowieść z wyprawy na Cejlon. Powtarzają się tu wszystkie zalety opowiadacza spokojnego a ścisłego, który umie przyrodę obserwować, a barwność obrazów i budzenie interesu spotęgowane są tem, że podróżnika otacza najwspanialsza na świecie przyroda „rajskiej wyspy“, a przygody łowieckie bardziej są urozmaicone i dramatyczne. Siadłszy do czytania, trudno się poprostu oderwać od książki, bo czytelnik sam nie wie, jak czuje się wprowadzonym w zaczarowaną naturę dalekiego Wschodu, oddycha wraz z autorem tropikalnem powietrzem wyspy, słyszy wraz z nim huk oceanu, rozbijającego się falami o skały nadbrzeżne, przebiega wraz z nim przepyszne „dżungle“ i zapiera w sobie oddech, gdy przychodzi do spotkania z kolosami tropikalnej fauny...“

Ponieważ pierwsze wydanie „Indyj“ niedostępne było dla szerszej publiczności, luksusowe zaś wydanie „Indyj“ i „Cejlonu“ było kosztowne, przeto dla rozpowszechnienia tych dzieł redakcja *„Łowca Polskiego“* dokonała ich przedruku i nowego nakładu w znanej serji swych wydawnictw w następujących osobnych odbiciach:

Notatki myśliwskie z Indyj.

Warszawa. Nakładem Redakcji *„Łowca Polskiego“*. 1905. Druk Piotra Laskauera. 8⁰ str. 144.

Notatki myśliwskie z dalekiego Wschodu. Cejlon.

Warszawa. (j. w.) 1906. 8⁰ str. 157.

Po Indjach i Cejlonie przyszła kolej na Afrykę. „Kto raz zaznał czaru wyprawy myśliwskiej do dalekich krajów — słowa hr. Potockiego z opisu podróży afrykańskiej, — w odmiennej strefie i z ciekawą fauną, kto miłuje przyrodę i lubi polowanie, ten zawsze marzy o nowych ekspedycjach. Ledwo z Cejlonu wróciłem, a już snuły mi się po głowie myśli o nowej wyprawie; przeczytawszy zaś książkę Hoyosa[7]), począłem je krystalizować w formę stałego projektu“.

---

[2]) Ślub śp. Józefa hr. Potockiego z księżniczką Heleną Radziwiłłówną odbył się dn. 28. kwietnia 1892.

[3]) *„Łowiec“* 1894. str. 63.

[4]) Ibidem.

[5]) Arcydzieła Stachiewicza przepadły wszystkie w czasie pogromu Antonin.

[6]) Juljusz Starkel, ówczesny redaktor *„Łowca“*.

[7]) *„Zu den Aulihan.“* (Hr. Ernest Hoyos odbył swą wyprawę do Somalilandu wspólnie z hr. Ryszardem Coudenhove. Jej opis zob.: *„Łowiec“* 1894. str. 136.)

Celem podróży był Somaliland. Wyprawa, w której wzięli udział zaproszeni przez hr. Potockiego: Tomasz hr. Zamoyski i Jan hr. Grudziński, wyruszyła dn. 3. grudnia 1896. z Tryjestu. Trwała 3 miesiące. Z powrotem wyruszono dn. 7. marca 1897 z Adenu.

„Łowiec" donosił: [8]) „Wyprawa hr. Józefa Potockiego do Afryki została uwieńczona świetnym rezultatem. Uczestnicy jej są już w drodze do Europy i wiozą piękne trofea. Hr. Józef Potocki zabił lwa, nosorożca, słonia i 2 pantery. Tomasz hr. Zamoyski 2 lwy, słonia i 2 hyeny. Hr. Grudziński 2 lwice i słonia. Nadto różnego rodzaju antylop zabito przeszło 60 sztuk. Cieszymy się już z góry, że hr. Potocki do swych Notatek z Indyi i Cejlonu dołączy świeże opowiadanie z tej wycieczki w głąb czarnego lądu..."

Wynikiem literackim wyprawy afrykańskiej było najwspanialsze dzieło Józefa hr. Potockiego:

Notatki myśliwskie z Afryki. Somali.

Warszawa. Gebethner i Wolff. Z drukarni W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie. 1897. Illustrował Piotr Stachiewicz. Wielkie folio (Wymiary 50 × 31). Str. 134. Podpisano: Antoniny, w lipcu 1897. r. Dzieło nadzwyczaj ozdobne. Oryginalna oprawa z szarego płótna z wyciśniętym w złocie tytułem i facsimile podpisu autora. Część środkową oprawy zdobi potężny łeb lwa, rysunku P. Stachiewicza. Prócz mnogich rycin i winiet, portret autora w pozycji stojącej, wykonany w kolorach według oryginału Jul. Fałata, na osobnej karcie przed tytułem, nadto wielka mapa terenu objętego wyprawą (wymiarów 65 × 36 cm). Wysokość nakładu: 1000 egz. i 25 egz. na papierze japońskim.

Tosamo dzieło zostało wydane po angielsku:

Sport in Somaliland. Being an Account of a Hunting Trip to that Region. By Count Joseph Potocki. Translated from the polish by Jeremiah Curtin. With a Coloured Portrait of the Author, 58 Coloured Illustrations. 18 Page Photogravures, 7 Text Figures, and Map. Rowland Ward, [9]) Limited. „The Jungle", 166, Piccadilly, London, W. 1900. All right reserved.

Wymiary takiesame. Oprawa jak wydania polskiego, w szarem płótnie. Str. 136. Nadto spis rycin, a na końcu bardzo dokładny indeks rzeczowy, którego brak w polskiem wydaniu. Nakład wynosił 200 egz. Cena: 4.4.0 funty (4 gwineje).

„Notatki myśliwskie z Afryki" były przedmiotem szczególniejszego uznania Walnego Zgromadzenia Gal. Towarzystwa Łowieckiego w dniu 13. lutego 1898. Uchwalono, by Wydział imieniem Towarzystwa złożył serdeczne podziękowanie Józefowi hr. Potockiemu za wzbogacenie literatury polskiej tak pięknem i cennem dziełem. [10]) Obszerną jego ocenę i streszczenie podał *„Łowiec"* w szeregu numerów z r. 1898. [11]) Towarzystwo Łowieckie spotkał wkrótce hojny dar. Mianowicie autor ofiarował 50 egzemplarzy „Notatek z Afryki" Wydziałowi Towarzystwa celem rozsprzedania ich pomiędzy członków po zniżonej cenie i przeznaczył dochód z tej sprzedaży na cele Towarzystwa. „Najznakomitszy z polskich myśliwych i porywający pisarz łowiecki umożliwił swoim wspaniałym darem pięćdziesięciu członkom Towarzystwa naszego nabycie po bardzo przystępnej cenie swego dzieła..." [12]) Zarząd oznaczył cenę za egzemplarz na kwotę 12 złr. (gdy cena księgarska wynosiła 20 złr., w Król. Polskiem 15 rb.).

Czwartą wyprawę przedsięwziął Józef hr. Potocki w r. 1901. Celem jej pierwotnie miał być Nil Biały i Faszoda. W drodze plan zmieniono i udano się nad Nil Niebieski, do Senaar, gdzie przedtem nie postała noga żadnego europejskiego eksploratora. [13]) W podróży tej towarzyszył hr. Potockiemu p. Jan Sztolcman. On też zamieścił w *„Łowcu Polskim"* dziennik podróży i sprawozdanie, które w przedruku ukazało się w *„Łowcu"* pod tytułem: **„Wyprawa myśliwska hr. Józefa Potockiego do Sudanu,"** [14]) poczem napisał swe znane i znakomite dzieło: **„Nad Nilem Niebieskim",** wydane po raz pierwszy w r. 1902. (nakładem *„Łowca Polskiego"*) a po raz drugi obecnie (Warszawa 1928. Gebethner i Wolff).

Po wyprawie nad Nil Niebieski następuje przerwa w podróżach hr. Potockiego. Złożyły się na to różne okoliczności. Przedewszystkiem groźny wypadek na polowaniu w Dawidgródku w ordynacji śp. ks. Antoniego Radziwiłła, w dniu 21. lutego 1902. Hr. Potocki otrzymał ciężki postrzał w nogę, który zgruchotał mu kość udową powyżej kolana. Wprawdzie noga została uratowaną, ale rekonwalescencja trwała czas długi. [15]) Następnie na ten okres przypada założenie słynnego zwierzyńca „Pilawin" w leśnictwie dóbr Piszczowskich. Temu wielkiemu swemu dziełu poświęcił się odtąd hr. Józef Potocki całą duszą.

W r. 1907. przedsięwziął krótką wycieczkę myśliwską na niedźwiedzie nad rzekę Suchonę (gub. Wołogdska) [16]), a dopiero w r. 1921. przyszła do skutku nowa podróż w dalekie kraje. Było to już po katastrofie pilawińskiej.

Piątą tę i ostatnią wyprawę odbył Józef hr. Potocki w lutym i marcu r. 1921. w dorzecze Nilu Niebieskiego, nad rzekę Setit. Odbył ją wraz z obu synami Romanem i Józefem. Owocem jej literackim była książka:

Nad Setitem. Kartki z wyprawy myśliwskiej.

Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk Anczyca w Krakowie. Bez daty (1921.) Wielka ósemka, wymiary $24^1/_2 \times 17$. Str. 61. Podpisano: Watszawa, sierpień 1921. Z ilustracjami, wykonanemi podług zdjęć fotograficznych i mapką doliny Nilu. Oryginalna okładka kartonowa barwy fiołkowo-brunatnej ze złoconym tytułem i fotografją rzeki. Na odwrocie karty tytułowej: „Drukowano jako rękopis 250 egzemplarzy numerowanych, z czego 5 egzemplarzy na papierze holenderskim". Na następnej karcie dedykacja: *Synom moim na pamiątkę wspólnej wyprawy poświęcam.* [17])

I oto to ostatnie dziełko hr. Józefa Potockiego wydane znowu jak pierwsze przed 30. laty: *jako rękopis.* Format także zupełnie podobny. Dedykacja — dla synów — jakby pożegnanie... Z kart wieje smutek. Cóż dziwnego. Pod datą 28. lutego czytamy: *„Dziś św. Romana — imieniny Romka! Myśl moja biegnie w daleką przeszłość, do czasów bezpowrotnie minionych — hen, aż nad brzegi Horynia, gdzie przez szereg lat w moim wieku młodocianym obchodziliśmy w licznem gronie rodzinnem*

---

[8]) 1896. str. 47.

[9]) Słynna firma preparatorska a zarazem wydawnicza. Literatura angielska zawdzięcza jej cały szereg pierwszorzędnych dzieł z zakresu przyrody, łowiectwa i podróżnictwa.

[10]) *„Łowiec"* 1898. str. 30.

[11]) Str. 38, 56, 71, 123.

[12]) *„Łowiec"* 1899. str. 239. (*„Łowiec Polski"* otrzymał również 50 egzempl. do dyspozycji. Zob. „Ł. P." 1899. nr. 14., w ogłoszeniu).

[13]) *„Łowiec"* 1901. str. 29, str. 126, str. 141.

[14]) *„Łowiec"* 1901., począwszy od str. 150., przez szereg numerów.

[15]) Zob. *„Łowiec"* 1902. str. 58. i 80. W uzupełnieniu zawartych tam informacyj należy podać, że prócz prof. Bergmanna z Berlina został wezwany na consilium ś. p. prof. dr. Grzegorz Ziembicki ze Lwowa, który to głównie zajął stanowisko przeciwne amputowaniu nogi.

[16]) Zob. *„Łowiec"* 1907. str. 86.

[17]) „Nad Setitem" przedrukowano w *„Łowcu"* w r. 1923. i 1924.

i obywatelskiem imieniny mego Dziada, starszego Księcia Romana, w uroczej — a dziś tak tragicznie pustej i ponurej Sławucie..."

A przecież, — człowiek tak niespożytej energji i żywotności nie chciał się poddać. Żegnając z pokładu parostatku „Esperia" brzegi czarnego Kontynentu, kończy swój dziennik słowami: „*A w głębi duszy może kiełkuje chęć i nadzieja, że nie poraz ostatni!...*"

Jednakże był to raz ostatni.

Duch jeszcze czuwał, ale serce było złamane.

— — — — — — — — — — — — —

Czytelnicy zauważyli, że wszystkie rękopisy Józefa hr. Potockiego pochodziły z Antonin — z wyjątkiem ostatniego. Rękopis dziennika „Nad Setitem" datowany jest z Warszawy...

Antoniny już nie istniały.

Nie istniał też Pilawin...

Potworna zagłada tego zwierzyńca, była dla jego twórcy jednym z ciosów — bodaj najboleśniejszych.

„*Hej! — jakie to dalekie, jak się wszystko zmieniło — i świat, i ludzie, i pojęcia, — jakby wspomnienia z jakiejś innej planety*".[18])

— — — — — — — — — — — — —

W sierpniu 1922. r. rozbiegła się z zamku Montrésor we Francji po szerokim świecie żałobna wieść o zgonie Józefa hr. Potockiego. „*Łowiec*" zamieścił ją najpierw jako krótką wzmiankę,[19]) potem jako obszerny nekrolog, napisany przez p. Alberta Mniszka.[20])

— — — — — — — — — — — — —

Zasługi Józefa hr. Potockiego dla literatury nie kończą się na jego własnych dziełach drukowanych i na opisach, poświęconych jego podróżom, a wyszłych z pod pióra innych autorów, dziennikarzy, wreszcie tłumaczów jego notatek i wspomnień.

[18]) Nad Setitem, str. 40.
[19]) „*Łowiec*" 1922. Nr. 9. str. 12.
[20]) „*Łowiec*" 1925. Nr. 12., str. 6. (tamże jeden z portretów hr. Józefa Potockiego). Zob. też „*Łowiec Polski*". 1924. Nr. 1. str. 12.

Zasługa i to olbrzymia, a u nas niedoceniona, leży jeszcze gdzieindziej. Jest nią rozbudzenie zainteresowania dla owego wspaniałego, a jedynego w swoim rodzaju zwierzyńca, jakim był Pilawin.

Pilawin posiada swoją literaturę we wszystkich niemal językach. Podkład jej ma charakter zupełnie naukowy. Znakomity przyrodnik angielski i konserwator londyńskiego British Museum, Lydekker, poświęcił Pilawinowi specjalną monografję:

A trip to Pilawin. The deer-park of Count Joseph Potocki in Volhynia (Russia), by R. Lydekker. London Rowland Ward, Limited „The Jungle" 167. Piccadilly, W. 1908. in 8⁰. Wymiar $22^1/_2 \times 16^1/_2$, str. XIV + 115. **Przedmowa Józefa hr. Potockiego.**

Papier kredowy. Doskonałe ilustracje ze zdjęć fotograficznych. Oryginalna okładka w pełnem płótnie ze złoconym tytułem i wklejoną fotografją, przedstawiającą jelenia *Wapiti*. Cena egz. 6 s.

Polska literatura nie posiada dotąd niestety monografji o Pilawinie. Luźne wiadomości o nim rozsiane są w najrozmaitszych czasopismach, z „*Łowcem Polskim*" i „*Łowcem*" na czele. Ale Pilawin zasługuje na coś więcej. Pilawin oczekuje swej szczegółowej historji. Winna mu ją ziemia polska, na której istniał przez lat 16, jako doświadczalny rezerwat fauny swojskiej i importowanej. Bo jeśli go stworzył wielki pan i jeśli ten wielki pan włożył w organizację i utrzymanie Pilawina fortunę idącą w krocie, — nie znaczy bynajmniej, żeby to uczynił dla zaspokojenia nierealnej fantazji, lub rozrywki. Znaczenie tego zwierzyńca było o wiele doniośléjsze, niżby się zdawało.

Opracowanie historycznego pamiętnika o Pilawinie jest rzeczą wprost niezbędną.



ALBERT MNISZEK

KOZIOROŻEC ALPEJSKI

(Capra ibex)

w przestrzeni wieków i w dobie dzisiejszej

(Ze smutnej przeszłości, — Próby reaklimatyzacji, — Eldorado myśliwskie w Sabaudji, — Łowy, — Regeneracja w Szwajcarji, — Capra pyrenaica, — Capra aegagrus).

W r. 1574 skarży się Hans von Marmels, wójt z Castels, miejscowości położonej w szwajcarskim kantonie Graubünden, — że mimo najlepszych chęci nie może — jak dotąd corocznie bywało, — dostarczyć żywego koziorożca arcyksięciu Ferdynandowi Austrjackiemu do jego zwierzyńca w Salzburgu.*)

Dobę wyż wymienioną, czyli drugą połowę wieku XVI. uważać musimy według źródeł naukowych i myśliwskich za tę, która najszlachetniejszej tej zwierzynie europejskiej wystawiła w Alpach szwajcarskich akt zejścia. Również fakt ten, że do Salzburga musiano sprowadzać koziorożce aż z odległych kantonów szwajcarskich, dowodzi nam jasno, że zwierz ten w owym czasie w Alpach tyrolskich i u progu Salzburga leżących Alpach salzburskich już istnieć przestał.

Wszak wiemy z rozmaitych źródeł naukowych, że w średniowieczu i w czasach dla Alp przedhistorycznych koza ta była zwierzyną tam rodzimą i liczną, że zamieszkiwała nietylko rdzenne Alpy, ale też i ich liczne odnogi i rozgałęzienia. Wszak imperatorzy starego Rzymu sprowadzali rok rocznie kilka setek żywych koziorożców z Alp na igrzyska ludowe. Musiało być ich tam chyba wiele w owych czasach, jeżeli w takiej liczbie i to żywcem chwytanych zwierząt dostarczano ku uciesze rzymskiego plebsu. Możemy też śmiało przypuszczać, że *capra ibex* nie była wtedy mieszkanką li tylko najniedostępniejszych turni i skał alpejskich, lecz żyła też na stokach niższych, schodzących w dolinę Lombardji, inaczej trudnoby było łowić ją setkami, nawet na rozkaz rzymskiego cezara.

*) Emil Bachler: Zur Geschichte des Steinbocks in Rhätischen Alpen. Zürich 1893.

Nam myśliwym dzisiejszym, opatrzonym w broń dalekonośną polującym w górach czy to na jelenie, czy to na kozice i znającym trudności tych łowów wydaje się niezrozumiałem, jakim sposobem zdołał człowiek w przeciągu choćby kilku wieków wspaniałą tę i tak ostrożną zwierzynę na przestrzeni całych prawie Alp zupełnie wyniszczyć. A jednak tak się stało. Koziorożec jest zwierzyną niesłychanie dziką, nie znoszącą choćby dalekiego obcowania z człowiekiem i przez niego napierany cofał się wciąż wyżej do niedostępnych mas skalnych w regjonach wiecznych śniegów, a gdy mu i wśród nich za ciasno było, wycofywał się w odwrotnym od naporu kierunku — na zachód. A napór szedł od wschodu. Człowiek zniszczył najpierw wspaniałego zwierza i wyparł z Salzburga, Austrji i Tyrolu, przeszedł w pochodzie łupieskim przez całą Szwajcarję, aż stanął bezradny przed ścianą najwyższej i najdzikszej partji Alp, Pennińskich i Graickich w Sabaudji włoskiej, u podnóży olbrzymich grup Mont Blanc'u Monte Rosa i Gran Paradiso.

Tam, wśród wiecznego śniegu, wśród turni i lodowców, wśród stromych skał, gdzie na każdym kroku zieje śmierć z przepaści i śmiałkowi zagląda w oczy, tam znalazł wreszcie ostoję rogaty uciekinier, ale, jak się okazuje, nie całkiem bezpieczną. Nawet tam starano go się wyniszczyć, tak że w początkach XIX wieku czuł się ten zwierz w swojem istnieniu poważnie zagrożonym. Wreszcie w r. 1821 udało się znakomitemu naturaliście Zumsteinowi zainteresować losem wymierającej zwierzyny ówczesny rząd Piemontu. Wydane zostały surowe rozporządzenia ochronne, dzięki którym uzyskała ona prawo asylu w Alpach Sabaudji. Od roku tego datuje się epoka restauracji koziorożca alpejskiego.

Tymczasem w wieku jeszcze XVI spostrzegamy próby reaklimatyzacji koziorożca w Alpach austrjackich. Szlachcic von Keutschbach, nie wiemy dokładnie skąd, sprowadził w r. 1550 rodzinę koziorożców i rozmnożył ją w Alpach koło Salzburga. Nie mogąc sam sprostać w walce z kłusownikami, oddaje ją w opiekę ówczesnemu księciu arcybiskupowi z Salzburga. Hodowla szlachetnej tej zwierzyny i prawa ochronne rozmnażają ją stale, tak że w r. 1694 liczono tam 72 kozłów, 83 kóz i 24 koźląt. W roku jednak już 1706 schwytano ostatnie 12 sztuk tam żyjących, by resztkę tę uchronić od pewnej zagłady i rozmieszczono je w rozmaitych zwierzyńcach. Rok ten jest ostatniem świadectwem istnienia koziorożca w Alpach Tyrolu i Salzburga po dzień dzisiejszy. W Szwajcarji, jako fenomenalny wypadek notują kroniki po raz ostatni istnienie tego gatunku w jednej jedynej postaci kozła w r. 1770, a to w kantonie Berneńskim.

Faktem jest zatem zupełnie pewnym, że od początku wieku XVIII koziorożec nie istnieje już na całym obszarze Alp austrjackich i szwajcarskich. W Alpach sabaudzkich żyje on, jak już wspomnieliśmy, w dobie ówczesnej, w ostatnich, nielicznych stadkach i aż dopiero w wieku XIX dożywa odrodzenia. Są też poszlaki oparte li tylko na ustnych tradycjach, że szlachetna *capra ibex* żyła w ubiegłych wiekach w Alpach Transsylwańskich, okalających od południa Siedmiogród i dopiero z końcem wieku XVIII wyniszczoną została. Na to jednak pewnych danych nie posiadamy.

Czytelnikowi ciśnie się zapewne do ust pytanie, w imię jakich racyj człowiek zawziął się tak srogo na tę wspaniałą i żadnych mu szkód nie czyniącą zwierzynę. Dlaczegoż smutnego tego losu nie podzieliła z nią razem i o wiele łatwiejsza do wyniszczenia, kozica?

A dlaczego wyniszczono już tyle gatunków zwierzyny, bobra np. u nas i we wschodniej Europie? To zwierzę miało przynajmniej przeciw sobie pewne okoliczności obciążające w postaci drogocennego futra, w które się stroiło... ale koziorożec, ten zdawał się chyba nie przedstawiać, jako zdobycz, większej jakiejś wartości!

A jednak między powodami wyniszczenia bobra i koziorożca istnieje pewna identyczność.

Średniowiecze pełne naiwnych wierzeń i mistycyzmu wyhodowało cały stek zabobonów, których nie obaliła w wieku XV wchodząca jasnem słońcem epoka Odrodzenia. Medycyna szukała swych podstaw w różnego rodzaju nie tyle nadprzyrodzonych, co wręcz naiwnych zabiegach. Wielu organizmom zwierzęcym przypisywano cudowne, lecznicze właściwości. Bóbr był jednym z tych nieszczęśników, którego tępiono dla ówczesnej medycyny, takim był i koziorożec, którego nadto niektóre części organizmu uważano za cudowne i nadprzyrodzone środki, fetysze, amulety przynoszące szczęście, lub paraliżujące działania złego ducha. Dla ilustracji słów moich dodam, że w wieku XVI i XVII płacono w Austrji i Szwajcarji za róg koziorożca, który starty na miał leczył padaczkę, dwa talary, za kostkę „serdeczną“ jako fetysz odpędzający djabła, płacono dukata i t. p.

Od wiary w te brednie nie byli wolni i ówcześni książęta kościoła, jak książę arcybiskup z Salzburga Guidoald hr. Thun (1654—1668). Wydał on polecenie wybijania koziorożców na zaopatrzenie swej nadwornej apteki w artykuły rzekomo medyczne, które drogo swym wiernym sprzedawał. Trzeba jednak przyznać, że jego dwaj następcy na stolcu arcybiskupim hr. Kühnberg i Ernest hr. Thun nie poszli w jego ślady i czynili co mogli, by szlachetną zwierzynę uratować, nie byli jednak w stanie przezwyciężyć zaszczepionej w ogół wiary w cudowne właściwości organizmu tego zwierzęcia.

Tak więc stopniowo w przeciągu stu lat dzięki ciemnocie i głupocie ludzkiej wspaniały ten mieszkaniec Alp, zreaaklimatyzowany przez wymienionego wyż von Keutschbacha, przeszeszedł ponownie do Nirwany!

C. d. n.



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio-środkowa Afryka)

I.

Antylopa „Mbawala“ a lampart

Ciąg dalszy.

Zakładamy drugą przynętę jeszcze z większą oględnością. Idziemy tam z Kazimierzem następnego dnia, skoro tylko zaświtało.

Jest! — tak sądzimy — zbliżywszy się do miejsca gdzie leżała łapka, bo miejsce puste, a obok w trawach coś się rzuca i mruczy.

Przygotowani obaj do strzału zachodzimy ostrożnie, Mruczenie i parskanie wzmaga się. Wreszcie pokazuje się nam zwierz, wielkości średniego psa o brunatnej sierści. Podskoczyło nieco w górę na to tylko, aby zaraz upaść; nie zdołało pociągnąć za sobą żelaza, w których tkwiła łapa, dobrze zębami ujęta.

Strzał Kazimierza uspokoił go na zawsze.

Była to cybeta, samiec wyrośnięty.

Przetransportowaliśmy potem łapkę na inne miejsce, bo lampart przestał już kręcić się w tych stronach.

I tam nie szło lepiej. Długi czas ani małe, ani większe drapieżce nie zbliżyły się do łapki.

Dopiero jednej burzliwej nocy, kiedy i hieny głodem pędzone przywędrowały do zagajnika i kręciły się całą noc dokoła naszego obejącia, jakiś gość — na razie nie rozeznany — zatrzasnął żelaza. Jakkolwiek pozostawił on po sobie trochę sierci i krwi pomiędzy zębami łapki, ale z drobnych tych śladów trudno było odgadnąć, jaki zwierz wtykał tam swoją łapę, bo tropy zmyła ulewa. Że mu źle poszło, nie mieliśmy wątpliwości, przynęta bowiem pozostała nienaruszona.

Po kilku tygodniach znalazłem winowajcę. Idąc za tropem „Mbawali“ — natrafiłem na nieżywego lamparta. Leżał mordą w strumieniu, owalany błotem i wychudzony. Śmierdział już dobrze i roje much na nim. Była to okazała sztuka, samiec, o dobrem jeszcze futrze. Zmiażdżona, spuchnięta i pełna ropy łapa, świadczyła najwymowniej skąd pochodziła ta rana, i co było powodem śmierci. Zdechł poprostu z głodu, nie mogąc nic już ułowić, ten niefortunny amator — tym razem — zdechłej kury.

Jeszcze jedna cybeta — a później jastrząb — dopełniły naszego łupu łowieckiego za pomocą łapki, i na tem się skończyło. Ani hieny, ani lamparty, ani nawet cybety — jakby powiadomione o nieszczęśliwym wypadku swego pobratymca — nie zachodziły już do łapki.

Przyszła znowu pora deszczowa. Ogromne ulewy nie pozwalały nam nieraz całemi dniami wychylać nosa poza obręb domostwa. Trawiska powyrastały do olbrzymich rozmiarów, a wszystkie ścieżki i przejścia gubiły się w ich uroczych tunelach. Otuliły też nasze obejście tak zwartym płaszczem, że gdyby nie sterczące ponad nie dachy domu mieszkalnego i magazynu, niktby nie domyślał się obecności ludzi na tem pustkowiu. Gorąca dochodziły do 45° C. w cieniu. Nawet noc nie przynosiła żadnej ulgi. Człowiek poprostu kąpał się we własnym pocie. Każdy wysiłek fizyczny stawał się męczarnią; toteż spędzaliśmy takie dnie bezczynnie na leżaku lub w hamaku. Zajęcie nasze ograniczało się przeważnie do napełniania żołądka, a ruch — do przechadzki po podwórzu podczas przerwy deszczowej.

W czasie takim trudno ustrzec się od febry. Przechorowaliśmy się obaj z Kazimierzem, ja mniej, on więcej, ale bez żadnych poważniejszych skutków.

Odcięci od świata, oczekiwaliśmy zjawienia się parowczyka Towarzystwa A. Log Co, który — już naprawiony — miał odbyć nową podróż z Mazaro do Katungi (w kraju Makololów) i ewentualnie przywieść nam pocztę.

I rzeczywiście jednego popołudnia zawinął do Szamu. Radość wielka, bo nie tylko mogliśmy teraz nagadać się w towarzystwie sobie równych, ale dowiedzieć się o nowinach z wybrzeża a nawet z Europy. Poczty naszej wprawdzie nie przywieziono, ale zato gościa, w osobie Anglika p. Marshalla, który miał w Szamu pozostać czas dłuższy.

Anglik, myśliwy, palił się do polowania, a że to była pierwsza jego wycieczka w głąb kraju, interesował się wszystkiem, co dotyczyło zwierzyny tutejszej i sposobów jej łowienia. Gdy się dowiedział o lampartach i o naszych ujemnych doświadczeniach z łapką, nie miał już spokoju. Jeszcze tego samego dnia chciał ją wypróbować, bo jak twierdził, to tylko nasza nieświadomość, w jaki sposób należy łapkę nastawić, była przyczyną niepowodzenia. W jaki to sposób urządzić należało — na razie nam nie wytłumaczył. — Miało to pozostać na razie jego tajemnicą.

Pokazaliśmy Anglikowi, gdzie ma szukać tropów lamparcich i daliśmy mu ludzi do pomocy. Mimo słoty nie opuścił dnia, aby nie nastawił łapki to tu, to tam. Jednak tydzień upłynął — a z prób jego nie widzieliśmy żadnych rezultatów. Gdy z wycieczek takich powracał przemoczony i zbiedzony, — myśleliśmy zawsze: teraz będzie miał już dość. Ale wytrwały Anglosakson zawziął się, aby rzecz doprowadzić do końca. Nasze przedstawienia, że i my nie z mniejszym zapałem początkowo wzięliśmy się do tych prób, a przecież wyniki w ciągu siedmiu miesięcy były prawie żadne, że chodząc prawie ciągle zmoczony, może nabawić się febry, nic nie pomogły. Musiał być w gąszczaku i rano i wieczorem.

C. d. n.



Do artykułu

Dalszych kilka uwag w sprawie obecnej amunicji śrutowej

p. A. Przedrzymirskiego

Mówimy tu tylko o ładunkach z prochem bezdymnym, gdyż proch czarny nie naraża jeszcze myśliwego na niebezpieczeństwo przy zdwojonym nawet ładunku przy dobrej strzelbie, zresztą w tak napełnionej łusce nie byłoby miejsca na śrut, jest więc zawsze kontrola. Sz. Autor twierdzi, że naboje przez Niego samego robione, są dla niego najbezpieczniejsze i najlepsze. Przyznajemy słuszność temu twierdzeniu, lecz tylko w tym wypadku, gdybyśmy mieli do wyboru jeszcze li tylko naboje robione na zamówienie u jakiegoś rusznikarza lub w jakimś handlu bronią, robione więc też ręcznie, czyli, gdyby myśliwy swą własną pracę robienia naboi powierzył komu innemu. Inaczej jednak rzecz przedstawia się z nabojami wypełnianemi maszynowo. Żaden myśliwy, choćby niewiem jakim był pedantem, nie potrafi tak dokładnie zrobić naboi, jak go robi specjalna maszyna nowoczesna o idealnej wprost precyzyjności. Naboje robione ręcznie przezemnie, dla mnie samego będą z pewnością bezpieczne, ale nie będą dobre, gdyż nie znajdą się w ich całej setce dwa matematycznie sobie równe, gdy przeciwnie wyrabiane maszynowo są idealnie sobie równe — a tylko takie mogą dać zawsze jedno i to samo dobre krycie. Zwracamy uwagę, że nietylko waga prochu i śrutu decyduje o dobroci i równości strzału, równie ważną rolę, szczególnie przy prochu bezdymnym, odgrywa przybitka i sposób jej wtłaczania w łuskę. Człowiek nie jest w stanie wtłoczyć ją w łuskę zawsze z matematycznie tą samą energją. Raz wtłoczy ją lżej, drugi raz silniej, zależeć będzie to od jego nerwów i stanu psychicznego w danym momencie, a od stopnia przybicia prochu zależy w wielkiej mierze stopień ciśnienia gazów, a więc ostrość strzału i siła odrzutu.

Zasadą również *sine qua non* dla myśliwego, jeżel nie chce się narażać na niebezpieczeństwo nieobliczalnego w skutkach wypadku, powinno być używanie najlepszej amunicji ze znanych światowych fabryk i o ile możliwie tej samej, choć zresztą zaznaczyć wypada, że chemja w fabrykacji bezdymnych prochów i w pracy opanowania ciśnienia gazów bezdymnych, tak wielkie poczyniła postępy, że powiedzieć śmiało możemy, iż każdy proch taki jest dzisiaj zawsze dobry. Przestrzegamy myśliwych przed używaniem naboi takich, jakie je sam Sz. Autor nazywa „ohydą“. Pamiętajmy, że głównym składnikiem prochu bezdymnego jest nitrogliceryna, względnie nitrocelulosa, gwałtowny materjał wybuchowy, którego lekceważyć nie wolno. Nietylko jego waga w naboju musi być odpowiednią, ale i sama łuska wymaga silnej specjalnej konstrukcji. Używanie ładunków lichych, choćby przez siebie samego robionych, to „igranie z ogniem“, nie mówiąc już o skutkach drugorzędnego znaczenia, zawodów na polowaniu. Powrócimy jeszcze do tego tematu w przyszłości. Tymczasem jeszcze, czyniąc zadość życzeniu Generała Maryańskiego, autora pierwszego artykułu w powyższej sprawie, zaznaczamy, że mówiąc On o mecie 37 kroków, miał na myśli doskonałą penetrację śrutów, przechodzących na wylot zająca, a nie fakt ubicia go na tę odległość. *Red.*



Sposób oceniania wieńców jelenich

według Nadlera

Sposób ten przyjęty został po raz pierwszy na wystawie łowieckiej w Peszcie w 1928 r. Uznany został on też przez Koła łowieckie w Austrji i w Niemczech. Zaletą jego jest sprawiedliwe uwartościowanie wszystkich poszczególnych części i zalet lub wad danego wieńca. Według dotychczasowej formuły niemieckiej długość pni głównych i ich rozwartość mocą swej wysokiej liczby wyrażonej w centimetrach dominowała nad innemi wartościami danego wieńca tak dalece, że właściwie dwa te czynniki decydowały o jego wartości, inne — jak grubość pni, obwód róż i ciężar podrzędną tylko odgrywały przy kwalifikacji rolę. Jak widzimy poniżej, wady te zostały usunięte.

Formuła pomiarów (w centimetrach):

1. Przeciętna długość obu pni **dzielona przez 2**
2. Przeciętna długość (w cm.) obu pni odnóg ocznych . . . . „ „ 4
3 przeciętny obwód obu róż
4. obwód prawego pnia między odnogą oczną i środk.*)
5. „ lewego „ „ „ „ „ *)
6. „ prawego „ „ „ środk. a koroną**)
7. „ lewego „ „ „ „ „ **)
8. waga wieńca (z mniejszą czaszką) w kilogramach **pomnożona przez 2**
9. liczba istniejących odnóg

---

*) bez względu na istnienie odnogi nadocznej,
**) w najcieńszem miejscu.

10. piękność wieńca:

a) kolor

	punktów
bez określonej barwy lub sztucznie ofarbowany	0
żółtawy	1
brunatny	2
ciemny i czarny	3

b) Uperlenie

żadne	0
słabe	1
dobre	2

c) Rozłożystość ***)

do 60 centimetrów	0
od 61 „ 70 „	1
„ 71 „ 80 „	2
„ 81 „ 90 „	3
„ 91 „ 100 „	4
nad 100	5

Za błędy w wieńcu, jak brak symetrji, nieszlachetność formy, nieproporcjonalna rozłożystość i t. p. — odejmuje się punktów 1 do 3.

Przykład,

Wieniec jeleni Nr. 12, nierówny 20-ak.

	punktów
Długość pni 121 : 2	60·50
„ odnóg ocznych 41·50 : 4	10·37
Obwód róż	25·75
Obwód pnia ad 4)	17·75
„ „ „ 5)	17·00
„ „ „ 6)	16·25
„ „ „ 7)	15·75
Waga 10·30×2	20·60
Liczba odnóg 18	18·00

Kolor . . . . punktów 2
Uperlenie . . . „ 1
Rozłożystość 78 cm „ 2
Razem . . . 5
Odejmuje się
za niełądne skrzywienia odnóg
ocznych . . . punktów 2
Razem . . . 3 za piękność 3·00

Razem punktów 204·97

Opierając się na zasadach powyższych, możemy też łatwo stworzyć formułę do oceniania rożków sarnich.

A. M.

***) wewnętrzna największa odległość między pniami głównemi.



Korespondencje

Kraków, w lutym 1928.

Z Oddziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w Krakowie.

SPRAWOZDANIE z czynności delegatów za rok 1927

Regularne zjazdy kwartalne delegatów nie zawsze odbyć się mogły przy braku kompletu z powodu chwi-

JAN NARKIEWICZ JODKO.

Bielak na Podolu.

(Opowiadanie starego Kresowca).

Wilka i Litwina natura ciągnie do lasu. — Jakkolwiek urodzony na Podolu wśród stepów, które całą duszą ukochałem, uganiając skoro jesień nastąpi za szarakiem, za lisem, a częstokroć i za wilkami, których co prawda charty moje nie brały, lecz osadzały na miejscu do przyjazdu opóźnionych przebywaniem bagien i moczarów szczwaczy i myśliwych. Skoro tylko pierwszy śnieg upadł, stężałe błoto nie pozwalało na wyjazd w pole z chartami — krew litewska grać poczynała — i taka nieprzeparta siła ciągnęła mnie ku borom litewskim, ku ostępom poleskim, rozciągającym się wśród nawpół zamarzniętych bagien, że żadne względy nie były w stanie mnie zatrzymać. Znikałem na czas jakiś w krainie puszcz i niedostępnych trzęsawisk, skąd wracałem bogaty we wrażenia i myśliwskie przygody, a częstokroć i w zwierza, najczęściej „przypadkiem“ napotkanego.

Miałem do wyboru szpilkowe lasy, rozciągające się na wielkiej przestrzeni w gubernji grodzieńskiej a należące do mego krewnego i wielkiego przyjaciela Stanisława Strawińskiego — dalej kilkadziesiąt tysięcy morgów w gubernji mińskiej, własności Stanisława Horwatta, męża mojej bratanicy, a następnie sławne knieje ś. p. Hieronima Kieniewicza w majątkach Dereszewicze i Bryniew, na głębokiem Polesiu położonych. Ożeniony również z córką mego brata, ukochany przez wszystkich, którzy go znali Rucio Kieniewicz, gościł w swym dworze tygodniami takich myśliwych, jak Józef Weyssenhof i dr. Zaborowski, którzy za rozkosze myśliwskie, za zdobyte trofea, wypłacali się prześlicznemi nowellami, pełnemi humoru, werwy i poezji wspomnieniami łowieckiemi.

Nie będąc ani autorem, ani „znakomitym myśliwym“, a tylko stryjaszkiem Pani Domu, byłem podejmowany w gościnnym „Bryniewie“ całemi miesiącami i stamtąd wyniosłem najpiękniejrze moje wrażenia i tryumfy cynegytyczne. Upolowałem niedźwiedzia, którego do mego przyjazdu kilkudziesięciu leśników pilnowało w „barłogu“ broniąc dostępu do kniei, w której „Myś“ na zimę pod śnieg się zagrzebywał.

Poznałem tu sławnego „Moroza“, który zniknąwszy w ostępie, za parę godzin wyprowadził na mnie olbrzy-

lowych przeszkód, mimo to jednak celem utrzymania ciągłego kontaktu w takich wypadkach porozumiewano się listownie z nieobecnymi.

Rezultatem działalności delegatów, którym z całą gotowością tut. Starostwo szło na rękę, były następujące na nasz wniosek wydane zarządzenia, a to do Posterunku Policji Państw., Zarządów gminnych i Spółek łowieckich:

Dnia 2. kwietnia 1927 do L. 6155 wydano wezwanie do bezwzględnego tępienia kłusownictwa i wnykarstwa, jakoteż badania pochodzenia zwierzyny przy jej sprzedaży. Polecono przytem czuwać nad wykonywaniem polowania w granicach przepisów ustawowych, a w razie dostrzeżonych wykroczeń stawiać wnioski o rozwiązanie kontraktów dzierżawnych. Nadto zakazało tut. Starostwo stawiania sideł (oka włosienne) na kwiczoły, gdyż przy tej sposobności stawiano też sidła na kuropatwy (nadzwyczaj tu rzadkie), słonki i druty na zające. Wydano także nakaz współdziałania ze strony Zwierzchności gminnych i Spółek łowieckich z Posterunkami Policji Państwowej w tępieniu kłusownictwa z wnykarstwem. Posterunkom Pol. Państw. polecono pod osobistą odpowiedzialnością pp. komendantów bezwzględnie konfiskować broń palną nieprawnie noszoną, stosować surową kontrolę przy opinjowaniu potrzeby wydawania zezwoleń na noszenie broni, przy czem nadto wskazano na konieczność kierowania się bezwzględnem przeświadczeniem, że broń użytą będzie wyłącznie do legalnego polowania.

Na Zjeździe delegatów dnia 10. lipca 1927 postanowiono prosić Starostwo o zamknięcie polowania na kuropatwy na przeciąg dwu lat, przedłużenie ochrony zająca do 15. października, a rozpoczęcie jej od dnia 16. stycznia. Niestety pierwszy termin nie mógł być w całości dotrzymany, gdyż powiat nasz posiada dwie Rady powiatowe (Żywiec i Myślenice), a ich przychylna opinja nadeszła spóźniona, wskutek czego rozszerzenie ochrony doszło do wiadomości myśliwych dopiero dnia 8. października. Nadto na wniosek delegatów zamknęło Starostwo w porozumieniu z Rad. pow. polowanie na wszelką zwierzynę łowną w trzech gminach tut. powiatu na przeciąg dwu lat, ponieważ groził jej tam zupełny zanik.

W tym samym dniu odbyło się z inicjatywy delegatów zebranie konstytutywne założyć się mającego Towarzystwa łowieckiego, na które zaproszono okolicznych myśliwych-dzierżawców, jak również przychylną łowiectwu inteligencję. Przybyło 24 osób. Zebranie zagaił podpisany — przewodnictwo objął delegat inż. Alfred Preisner — referat statutu delegat dr. Artur Wanicki. Wybrano prezesem Towarzystwa podpisanego, sekretarzem Bolesława Kaweckiego, skarbnikiem Stanisława Nitonia, gospodarzem Karola Hustolsa. Województwo statut zatwierdziło. Wskutek przesiedlenia się referenta dr. Wanickiego do innego powiatu, opóźniło się sporządzenie regulaminu, które obeckie jest w toku.

Mimo ciężkich warunków młodego Towarzystwa, postanowiono na razie wydzierżawić chociaż jeden teren polowania gminnego, co też uskuteczniono. Wobec oporu licytujących t. zw. „myśliwych wiejskich", zapłacić musiało Towarzystwo niebywałą w naszych okolicach cenę czynszu dzierżawnego, bo 360 zł za 1.800 ha. Kaucję i czynsz pokryło Towarzystwo jedynie dzięki ofiarności niektórych członków, którym na rozwoju dalszym Towarzystwa serdecznie zależy. Teren to górski, wspaniały i dla rozwoju zwierzyny jeden z najlepszych.

Przeważna ilość członków to myśliwi-rybacy, a ponieważ znaczną część członków stanowią sami tylko rybacy, popierający jednak nas myśliwych serdecznie, to mimo, że Towarzystwo nie dysponuje żadnym rewirem rybackim, nazwano je Towarzystwem łowieckiem (myśliwsko-rybackiem) w Makowie małop. Obecnie liczy Towarzystwo 34 członków i przystąpiło jako członek do Oddziału Małop. Tow. Łowieckiego w Krakowie.

Na tem kończę moje sprawozdanie z prośbą o użyczenie mu choćby skromnej gościny na łamach „Łowca"

---

miego łosia, iście przedpotopowe zwierzę, które zrobiło na mnie tak wielkie wrażenie, żem przez chwilę wahał się strzelać, sądząc iż popełniam zbrodnię. Dopiero pięść Moroza, groźnie ku mnie wyciągnięta, przypomniała mi przykry mój obowiązek. Gdy łoś runął, Moroz zbliżył się do mnie i splunąwszy, powiedział: Panoczku! wam na piecu leżeć a nie do łosiej strelać. — Unikaliśmy się potem wzajemnie, i tylko moja wysoka pozycja socjalna „stryja pani Leli" sprawiła, iż mi przy spotkaniu czapkował i nie spluwał.

Gdym przywiózł do domu moje litewskie, a raczej poleskie trofea, niedźwiedzia, łosia i kilka wilków, gdym je ustawił przed gankiem, wśród gałęzi sosnowych, cała Bebnówka i wsie okoliczne zaczęły się schodzić tłumnie — na łosia zwłaszcza patrząc z przerażeniem — z niedźwiedziem bowiem już ich cygan oswoił.

Wtedy się zdarzył wypadek, który mógł mieć fatalne następstwa. — Krytemi saniani, czwórką rączych koni zajechał pod ganek najmilszy mój sąsiad o wiorst 30 i przyjaciel dobrze znany w Towarzystwie lwowskiem ś. p. Zygmunt Mniszek. — Gdy konie lejcowe spostrzegły łosia, a nad nim drapiącego się na gałęź niedźwiedzia, stanęły dęba, zawróciły na miejscu i jak szalone rzuciły się do ucieczki, pociągając za sobą dyszlowe, i szczęściem rozłożyste, nie wywrotne sanie. Kilkanaście razy furman objechał naokoło olbrzymiego dziedzińca, zanim zdołał opanować zziajane, trzęsące się ze strachu rumaki. Przepraszałem drogiego sąsiada, który ze znaną swą dobrocią i uprzejmością starał mi się wmówić, że najmilsze wspomnienie o przygodzie tej zachowa.

Ale odbiegłem od rzeczy, a porwany wspomnieniami zapomniałem o bielaku i o jego na Podolu przygodzie.

Lat temu dwadzieścia kilka; może trzydzieści, wybrałem się w styczniu do Nakryszek w gubernji grodzieńskiej. Towarzyszył mi nieodstępny, wierny mój Pawełek, który od najmłodszych lat brał udział we wszystkich mych pieszych i konnych ekspedycjach w kraju i zagranicą, a następnie synów mych do szkół do Libawy i Rygi odwoził, i ze szkół na wakacje przywoził.

C. d. n.

dla obudzenia szerszego zainteresowania łowiectwem w tutejszym powiecie i jednanie nowych członków dla M. T. Ł. względnie jego Oddziału w krakowie.

Inż. Edward Gisman
delegat na pow. Maków.

Gródek Jagielloński, w lutym 1928.

Baczność myśliwi! Rewidujcie w zimie pola z oziminą!

Wyszedłszy z początkiem lutego w dzień ciepły i słoneczny na przechadzkę za miasto w pole, skierowałem swe kroki pomiędzy zagony oziminy, których wierzchołki pod wpływem już to wiatru, który zmiótł z ich grzbietów śnieg, już to z powodu słońca, który go stopił, pokryte były zleleniejącą się runią oziminy, podczas gdy w bruzdach i na miedzach leżał on jeszcze grubą warstwą. Uszedłszy kilkaset kroków, spłoszyłem stadko kuropatw żerujących na takim odsłoniętym pasie oziminy. Gdy bliżej do tego miejsca podszedłem, ujrzałem dwa w ziemię wbite kołki, a pomiędzy niemi rozciągnięty sznurek, do którego przytwierdzone były sitka z włosienia — lecz na szczęście tym razem puste i nie złowiła się w nie żadna kuropatwa. (Ale już może przedtem? *Red.)*

A więc na takie sposoby biorą się do kuropatw nasi kochani kmiotkowie?! Już nietylko pod stodołami i stogami w czasie zadymki, ale w czystem polu nawet?!

A więc baczność Panowie Myśliwi! Rewidujcie teraz często i cierpliwie zagonki odkrytej oziminy, a przychwyciwszy na niej wnykarza oddajcie go do ukarania w myśl § 41 i § 77 władzom, a sądzę, że chętka nastawiania sideł (o ile sędzia sprawiedliwy będzie) wnet „kuropatwiarzom“ odejdzie.

H. M.

Lisko, w lutym 1928.

Chcąc zadosyć uczynić życzeniu Redakcji, skierowanemu do swoich członków, przesyłam korespondencję, kreśląc obraz łowiectwa w liskim powiecie. Obraz nie bardzo wesoły — gdyż powiat liski nie posiada zasadniczo warunków sprzyjających łowiectwu, a to z powodu surowego klimatu, niskiej kultury rolnej, braku dobrego pożywienia, rozwielmożnionego kłusownictwa, obecności drapieżników czworonożnych i skrzydlatych, niekulturalnego sposobu polowania z ogarami na wszelką zwierzynę i dzierżawienia terenów myśliwskich przez niewłaściwych ludzi.

W 1925 r. powstała pomiędzy wielbicielami łowiectwa w Lisku i powiecie myśl zawiązania Towarzystwa myśliwskiego — która przybrała konkretne formy, a na czele Towarzystwa stanął jednogłoście obrany prezesem August hr. Kracicki.

Dzięki wybitnemu poparciu tutejszego Starostwa udało się Towarzystwu wyrwać wielką ilość obszarów łowieckich z rąk niewłaściwych i zaanektować na rzecz Tow., a tem samem rozszerzyć działalność prawie na cały powiat.

Jeśli nie można mówić o nadzwyczajnych wynikach, to trzeba przyznać, że stosunki łowieckie od czasu zaistnienia Tow. skierowane zostały na właściwe tory i uległy znacznej poprawie. I tak n. p. stan jeleni jest całkiem zadowalający, a jako przykład niech posłuży fakt zdobycia 14 wieńców na rykowiskach w 1926 r. (w Kalnicy 5, w Wetlinie 3, w Ciśnie 3, Maniowie 2, Zubraczem 1). W 1927 r. rykowiska były słabe — wyrażając się językiem naszych pobereżników: „jelenie tylko poburkiwały. Mimo to padły 4 byki. Przypuszczalną przyczyną lichego rykowiska było pojawienie się wilków, utrzymywanie się w drugiej połowie września i z początku października dosyć wysokiej temperatury, a w końcu może i zły stosunek łań do byków wpływa niekorzystnie na rykowisko. Jako przykład tego niestosunku przytoczę fakt skonstatowany na polowaniu w Średniejwsi majątku p. Włodzimierza Sołowija — gdzie na 30 sztuk widzianych jeleni zauważono jednego byka. Ryczenie wobec tak licznego haremu i braku rywali — zbyteczne!

Stan sarn w następstwie wojny i kłusownictwa zupełnie wyniszczony, poprawia się z roku na rok. Jest to zasługą tutejszego Starostwa — które na wniosek Wydziału Tow. zamknęło polowanie na sarny do 1928 r.

Stan zajęcy z wyżej podanych powodów bardzo słaby, a mimo wszystko i tu zauważa się pewna poprawa. Towarzystwo ubiło na ośmiu polowaniach w 6—8 strzelb 76 zajęcy, pozostawiając więcej jak trzecią część terenów całkiem nieprzepolowanych.

Dziki stały się w ostatnich czasach dość rzadkim gościem w naszych kniejach, zdaje się w następstwie wybijania prośnych samur. Również mało stosunkowo widzi się lisów — które dzięki wysokiej cenie futra stają się przedmiotem prześladowania i tępienia na różne sposoby przez kłusowników, a obok tego obciążone są jeszcze niewygasłą chorobą parchów.

Sporadycznie pojawiają się na rozkładach naszego powiatu ryś, żbik, wilk i niedźwiedź.

Polowanie na kuropatwy i przepiórki z powodu znikomej ilości i braku wyżłów prawie nie wykonywane. Również rzadko poluje się na ptactwo wodne. Wspominając o tem ostatniem, nie mogę się powstrzymać — aby nie podać do wiadomości „Łowca“ epizodzik przeżyty w sierpniu 1927 na polowaniu na kaczki w Manastercu, majątku hr. Krasickiego — gdzie polowaliśmy w 3 strzelby. Jedna z nich spoczywała w ręku znanego w Polsce myśliwego, znanego z nestorów naszego łowiectwa, Stanisława hr. Wodzickiego, — który licząc lat 85 (major meksykański z czasów cesarza Maksymiljana) postawiwszy się na drodze pod lasem w znacznej odległości od stawu, celną dubletą strącił dwie wysoko ciągnące kaczki — następnie zdołał złamać strzelbę, włożyć jeden ładunek i strącić trzecią. Podziwu godna w tym wieku bystrość wzroku, pewność ręki, nadzwyczajna sprawność w użyciu broni — jednem słowem mistrzostwo w sztuce strzelania zasługują na podanie tego epizodu do wiadomości myśliwych.

Dr. W. F.

Sambor, w marcu 1928.

Wywiązując się z obowiązku delegata, pozwalam sobie przesłać sprawozdanie z polowań w powiecie samborskim, nadmieniając, że dzięki energicznym zarządzeniom tut. Starosty p. Lenczewskiego, który sam, jako dobry myśliwy dba o podniesienie stanu zwierzyny — stan jej powiększa się.

W dniach 5. i 6. grudnia 1927 na polowaniu w Radłowicach u p. Wł. Barańskiego w 12 strzelb padło 52 zajęcy, 9 lisów; do sarn nie strzelano. Właściciel doskonały myśliwy i hodowca dba o podniesienie zwierzyny, w b. r. puścił do rewiru 20 zajęcy sprowadzonych z Węgier.

Dnia 12. grudnia w Sielcu u p. Podolskiego w 10 strzelb 39 zajęcy i 1 lis — stan zwierzyny poprawia się — stan sarn bardzo dobry.

Dnia 2. i 3. stycznia 1928 w Nowoszycach u p. Strzeleckiego w 10 strzelb ubito 64 zajęcy, 4 lisy; stan zwierzyny zadowalający.

Dnia 11. i 20. stycznia w Uhercach u p. Wiktora Smalawskiego w 10 strzelb 58 zajęcy, 1 rogacz.

Dnia 12. i 13 stycznia w Kulczycach szlacheckich w 4 strzelby: 27 zajęcy, 2 rogacze, 2 lisy.

Dnia 5. stycznia w Rajtarowicach u p. A. Biedermana, w 6 strzelb padło: 22 zajęcy, 1 rogacz.

Dnia 21. stycznia w Wykotach u p. Balickiego, w 3 strzelby padło: 20 zajęcy, 1 rogacz.

Dnia 20. stycznia w Baranczycach u p. Ujejskiego w 10 strzelb padło: 18 zajęcy, 3 rogacze, 2 lisy.

W sąsiednim powiecie Stary Sambor — stan zwierzyny jest fatalny, a to z powodu tego, że gminne polowania dzierżawią przeważnie chłopi, którzy polując z gończakami i na zasiadkach, wybijają zwierzynę do szczętu. *Wacław Popiel.*

Sambor, w marcu 1928.

W połowie stycznia odbyło się kilkudniowe polowanie na dziki u p. Władysława Dunki de Sajo w Niebyłowie i Perehińsku. W Niebyłowie padł jeden dzik, gdyż z powodu dużych śniegów w lesie dzików nie było. W Perehińsku padło 7 dzików, w tem duży odyniec, położony bardzo ładnym strzałem na 20 kroków przez p. Wacława Popiela; gospodarz polowania zrobił też ładną dubletę. W kilka dni później w Rypnem i Perehińsku w cztery strzelby zastrzelono 3 dziki; razem padło 11 dzików. *A. L.*

Biała-Bielsko, w marcu 1928.

Poza kołami myśliwskiemi nieznanem jest zapewne ogółowi, że przed czterema laty powstał w Bielsku-Białej Klub myśliwski, do którego należą prawie wszyscy wybitniejsi myśliwi. Jest to Bielsko-Bialski Klub myśliwski „Diana“, którego statut zatwierdziły władze, a który za jeden ze swych obowiązków wytknął sobie podniesienie całkowicie zniszczonego zwierzostanu, przywrócenie przedwojennej moralności myśliwskiej i z całą energją rozwija w tych kierunkach swą działalność.

Dla osiągnięcia tych celów nie uchylił się Klub przed poważnemi kosztami i trudami. Wydzierżawił cały szereg pozostających ze sobą w związku terenów myśliwskich, zaczął pielęgnację skromnego zwierzostanu, jaki na tych terenach został, zakupił sarny, zające i bażanty zagranicą i wypuścił je w poszczególnych rewirach, aby przeprowadzić odpowiednie odświeżenie krwi. Założono też w lesie skoczowskim bażantarnię i przez dwa lata wypuszczano bażanty zakupione w kraju i zagranicą.

Wynik tych usilnych starań Klubu równa się zeru, bo kilku sąsiadów bez miłosierdzia strzela wszystkie bażanty. Nie można stwierdzić, czy i samice nie padają pastwą tej dzikiej strzelaniny.

Pomimo niemiłych doświadczeń, nie dał się Klub odwieźć od swych zamiarów i wszczął późną jesienią 1927 r. ogólną akcję zakupna węgierskich i czeskich zajęcy celem wypuszczenia ich w terenie w większej ilości. Akcja ta spotkała się z pełnem uznaniem, choć wymagała wielkich środków pieniężnych, ponieważ cena zakupionej zwierzyny loco stacja załadowcza wynosiła 40 do 50 zł za sztukę. Prawie wszyscy bliżsi a nawet i dalsi sąsiedzi przyłączyli się do tej akcji.

Z prawdziwą radością przyjęły Koła myśliwskie wiadomość, że także Zarząd dóbr państwowych zakupił 83 zajęcy za pośrednictwem Klubu myśliwskiego „Diana“. Zakupno przeprowadził w imieniu Klubu jego prezes, u firmy Edward Mayer w Wiener-Neustadt. Firma ta dostarczyła zwierzyny najlepszego gatunku w skrzynkach po 4 zające, wogóle wykonanie takie pod względem jakości zwierzyny jak i opakowania było bez zarzutu. Firma zdobyła sobie uznanie nabywców i zaufanie, jajakiem się zresztą i poprzednio cieszyła.

Wychodząc z założenia, że dla podniesienia zwierzostanu konieczną jest zmiana ustawy łowieckiej, wdrożył Klub „Diana“ odpowiednie kroki, a w szczególności skierował do Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego podanie, uzasadniające potrzebę reformy ustawy łowieckiej i odpowiedniego uzupełnienia innych ustaw, pozostających w związku z wykonaniem prawa polowania.

To też na tej drodze składamy pełnemu energji Zarządowi Klubu myśliwskiego „Diana“ serdeczne życzenia, by usiłowania jego uwieńczone zostały pomyślnym wynikiem i życzymy mu szczerze, by w swej owocnej pracy nie opuścił skrzydeł, choćby źli sąsiedzi stać mieli na przeszkodzie.

Cześć Bielsko-Bialskiemu Klubowi „Diana“!

M. Schwarz.

Nadesłane

Wiedeń, w lutym 1928.

Niżej wymieniony członek Austrjackiego Związku Hodowców Zwierząt Futrzanych (Verband österreichischer Pelztierzüchter) zajmuje się teraz pracą o znaczeniu i możliwościach rozszerzenia się hodowania lisów srebrzystych (Silberfuchs, renard argenté) w Europie i pozwala sobie zwrócić do szanownych Panów kilka pytań, oczekując, że szanowni Panowie już zainteresowali się tym, dla Polski tak ważnym przemysłem. Moim zamiarem jest, przez wyjaśnienie danych możliwości zwracać uwagę powołanych kół na hodowanie lisów srebrzystych. Do tych kół należą gospodarstwa wiejskie, lasowe, a w pierwszej linji posiadacze terenów łowieckich. Niestety hodowla lisów srebrzystych była dotychczas dyskredytowana przez ludzi nieodpowiednich i niepowołanych.

Położenie i klimat Polski w stosunku do całej Europy — nadaje się najlepiej do zaaklimatyzowania wymienionego zwierzęcia i ma przyszłość przed sobą.

Dlatego spodziewam się, że szanowni Panowie udzielą mi łaskawie w następujących kwestjach informacje:

Czy już istnieją w Polsce hodowle zwierząt futrzanych?

Gdzie?

Odkąd?

Czyje są?

Jakie doświadczenia zrobiono wogóle?

Jakie Koła są w pierwszej linji zainteresowane w hodowli zwierząt futrzanych?

Czy istnieją jakie Związki, Stowarzyszenia etc., które głównie tem się zajmują?

Które dzielnice Polski są najodpowiedniejsze dla hodowli zwierząt futrzanych?

Czy mogę dostać adresy hodowców zwierząt futrzanych i adresy szanownych Panów, którzyby udzielili mi dalszych informacji w tych kwestjach?

Dziękując naprzód za łaskawą odpowiedź, pozostaję

z poważaniem

Dr. Ign. Adolf Priesner

Wien III. Marokkanergasse 11

Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE

z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 29. lutego 1928. r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski; obecni wiceprezesi: C. Czarkowski-Golejewski, A. Mniszek i A. Sander; członkowie Wydziału: inż. A. Ebenberger, T. Jędrzejowicz, Dr. A. Małaczyński, St. Pieńczykowski, dr. W. Ziembicki; zastępcy: St. Jaśkiewicz, dr. Fr. Piechowski i dr. J. Rosinkiewicz; zaproszony M. Chrzanowski i prowadzący protokół Wł. Wesołowski.

Prezes podał do wiadomości, że memorjał wygotowany w sprawie rozporządzenia o prawie łowieckiem złożył w Centralnym Związku Polskich Stow. Łowieckich w Warszawie, gdzie wyłoniono Komisję dla wypracowania jednolitego elaboratu; a następnie przedstawił wyniki swych zabiegów około usunięcia trudności, nasuwających się przy ostatecznem uruchomieniu Oddziału w Krakowie.

Przyjęto rezygnacje delegatów: inż. Michała Szurka, z powiatu kałuskiego; Tadeusza Wodzińskiego, z powiatu jarosławskiego; Jakuba Jakubowicza, z powiatu peczeniżyńskiego i Kazimierza Midowicza, z powiatu jasielskiego.

Delegatami zostali mianowani: w powiecie buczackim Mikołaj Dutkiewicz w Koropcu i Jan Gołębski w Pielawie, w powiecie dobromilskim inż. Stanisław Cynk w Dobromilu i dr. Stanisław Łoboś w Dobromilu, w powiecie krośniańskim dr. Zygmunt Lewicki w Krośnie, w powiecie strzyżowskim Jan hr. Mycielski w Wiśniowej i Józef Wiktor w Nowej wsi, w powiecie skolskim Kazimierz Krzanowski w Klimcu, w powiecie trembowelskim Romuald Załanowski w Młyniskach.

W poczet członków zostali przyjęci: Stanisław Balicki w Buczaczu, inż. Marjan Bosakowski w Lipuszu (Pomorze), inż. Stanisław Cynk w Dobromilu, inż. Mikołaj Dutkiewicz w Koropcu pow. Buczacz, Stefan hr. Dąmbski w Rudni Wielkiej pow. Rzeszów, Edward Dubanowicz w Pieniakach pow. Brody, Jan hr. Gołuchowski w Janowie pow. Gródek Jagielloński, Ludwik Jackowski w Buczaczu, Jan hr. Mycielski w Wiśniowej pow. Strzyżów.

Wiceprezes Czarkowski-Golejewski podał do wiadomości Wydziału, nazwiska delegatów zamieszkałych w Województwie krakowskiem, proponowanych na delegatów Centralnego Zw. Polskich Stow. Łowieckich w Warszawie.

Odpowiedzi

P. delegatowi W. P. w Humieńcu p. Sambor komunikujemy naszą opinję na zapytanie, czy wydra zabita kijem przez chłopa w rzece, należy do właściciela ewentualnie dzierżawcy polowania przez terytorjum którego rzeka przepływa, czy do dzierżawcy rybołostwa lub chłopa, który wydrę kijem zabił.

Według obowiązującego dzisiaj rozp. Prez. Rzpltej z dnia 3. grudnia 1927 Nr. 110. poz. 934 Dz. U. R. P. wszystkie zwierzęta wymienione w art. 1-szym są zwierzyną. W artykule tym wymienioną jest i wydra, która przeto jest tak samo dobrze zwierzyną jak sarna, zając, kuropatwa i t. p. z tą tylko różnicą, że niema czasu ochronnego i że w myśl art. 50. można na nią polować przez cały rok, a według art. 41. wolno ją chwytać w żelaza, pułapki i sidła. Polowanie należy do właściciela gruntu i może być wykonywane bądź na podstawie samoistnego prawa, bądź wskutek wydzierżawienia obwodu łowieckiego, a że przez polowanie rozumie się prawo przywłaszczania zwierzyny, i tylko uprawniony do polowania ma to prawo.

Wydra zatem zabita kijem przez osobę trzecią na obwodzie łowieckim, należy do tego, komu przysługuje prawo polowania w tym obwodzie, w każdym razie nie do zabijającego ją chłopa.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 7·50 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec“, Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Z „Drukarni Narodowej“, Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.